



Maj 2025 Nr 265

DWUKROPEK:

MIESIĘCZNIK HISTORYCZNO-KULTURALNY

Dzień Polskiej Niezapominajki

Nikifor: twórca sztuki naiwnej

Halina Poświatowska: nierozważna i nieromantyczna

Władysław Hańcza: nie tylko Kargul







REDAKCJA

Joanna Majksner-Pińska

tel. +27 21 424 7144

kom. +27 83 330 9661

e-mail: joanna@musiccape.co.za

www.dwukropek.org

SPONSORZY

J. M. Piński, MusicScape, Ambasada RP w Pretorii,
Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana
Olszewskiego, J. W. Przybyłowicz

INFORMACJI w sprawie rocznej prenumeraty,
pojedynczych egzemplarzy, archiwum
oraz ogłoszeń i reklam udziela redakcja „Dwukropka”



W numerze:

KALENDARIUM

Dzień Polskiej Niezapominajki	str. 4
Dzień Polonii	str. 29

ROCZNICE

Nikifor	str. 6
Halina Poświatowska	str. 13
Władysław Hańcza	str. 22
Bohdan Wodiczko	str. 27
Tytus Czyżewski	str. 34

KLUB BIBLIOFIŁA

Trop stomatologiczny	str. 17
----------------------	---------

SPACERKIEM PO HISTORII

Łemkowszczyzna	str. 20
----------------	---------

oraz

**GALERIA, KĄCIK LITERACKI, HUMOR,
KORESPONDENCJA, TRYBUNA CZYTEL-
NIKÓW**

Projekt okładki: Marek Piński

WYDZIAŁ KONSULARNY AMBASADY RP W PRETORII

adres: 14 Amos Str., Colbyn,
PRETORIA 0083

telefony: +27 12 430 2631, + 27 12 430 2632

faks: +27 12 430 2608

e-mail: konsulat.pretoria@msz.gov.pl

www.gov.pl/web/rpa

*Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw
Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy
za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa
Rady Ministrów*

*Publikacja wyraża jedynie poglądy autora/autorów
i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem
Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Fundacji Pomoc
Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego*

Redakcja zastrzega sobie prawo do selekcji, skracania i korekty nadsyłanych tekstów oraz nie ponosi odpowiedzialności
za prezentowane w nich poglądy.



DZIEŃ POLSKIEJ NIEZAPOMINAJKI

*„Niezapominajki
to są kwiatki z bajki!
Rosną nad potoczkiem,
patrzę rybim oczkiem.
Gdy się płynie łódką,
Śmieją się cichutko
I szepcą mi skromnie:
„Nie zapomnij o mnie”*

Maria Konopnicka

15 maja corocznie obchodzimy święto promujące walory ojczystej przyrody. Jego znakiem rozpoznawczym jest kwiat niezapominajki. Symbolizując pamięć, ma nam pomóc zachować od zapomnienia ważne w życiu chwile, osoby i miejsca.

Dzień Polskiej Niezapominajki to święto przyrody z miłosnym przesłaniem, które zapoczątkował redaktor radiowej Jedynki, prowadzący „Ekoradio” – Andrzej Zalewski. Zwrócił on uwagę, że ekologia to nie tylko ochrona przyrody, to także nasze codzienne działanie. Oszczędzamy wodę, prąd, segregujemy śmieci – to wszystko mieści się w przesłaniu Niezapominajki. W innym znaczeniu święto to zachęca nas do pamiętania o bliskich, życzliwości

i otwarcia na drugiego człowieka, przypomina o istocie dbania o nasze otoczenie.

Każdy z nas pamięta wierszyk M. Konopnickiej. Ale chyba nie każdy wie, że nazwa niezapominajki *Myosotis* L. pochodzi z języka greckiego i oznacza – dosłownie “mysie uszko”. Na Podlasiu nazywamy ją potocznie niezabudką lub „żabim oczkiem”. Obecnie spotykamy na całym świecie ponad 50 gatunków tej rośliny. W Polsce rosną dziko w zaroślach, w lasach i nad ciekami wodnymi. Do najpopularniejszych gatunków należą m.in. niezapominajka alpejska rosnąca m.in. w Tatrach i kwitnąca od czerwca do lipca, niezapominajka błotna, leśna czy pospolicie występująca niezapominajka polna (kwitnie od maja do sierpnia).

Rośliny osiągają 20–30 cm wysokości, mają krzaczasty pokrój i wzniesione pędy. Zakwitają w drugim roku życia. Pojedyncze kwiaty są niebieskie, drobne, zebrane w luźne, wydłużone kwiatostany. U odmian ogrodowych kwiaty mogą być także białe lub różowe. Kwiaty zapylane są przez owady, zwabiane nektarem wydzielanym przez żółto zabarwione wy-

rosterki słupek – stąd ta przysłowiowa nazwa: „rybie lub żabie oczko”. Niezapominajki są idealnymi kwiatami do hodowania w przydomowych ogródkach i działkach, ponieważ nie są zbyt wymagające w uprawie.

Bez właściwości leczniczych, ale też nietrujące i nie-nadające się do spożycia kwiaty, pozostają w cieniu wielu roślin naprawdę dla człowieka użytecznych. Na szczęście, odnajdują miejsce w polskiej tradycji i kulturze.

*Znam ja bardzo dobrze te drobniutkie kwiatki,
wiosną idę po nie, przynoszę z rabatki.
Choć kwitną niebiesko, wolę je od róż.
A jaka ich nazwa? Nie pamiętam już...*

Apoloniusz Ciołekiewicz

*Na zakłętej polanie, w jaśminowym cieniu,
Kwitną niezapominajki w pobliżu strumienia...
Zasiał je kiedyś wiatr szalony, pijany wiosną,
Zakręcił młynka, cisnął, nie patrząc, czy urosną.*

*A one przycupnęły, nieśmiało milczały,
W maju pierwsze cichutko listki pokazały...
Rozglądały się wokół, drżąc z trwożnej bojaźni,
Czy będą mogły tutaj z kimś się zaprzyjaźnić.*

*Pierwszy je wypatrzył psotny deszcz czerwcowy,
Pokropić świeżą zielenią, jak zawsze gotowy...
Jaśminy obsypane kwieciami, gałązki skłoniły,
Muśnięciem delikatnym siewki utuliły.*

*Poziomki zarumienione, do zabawy skore,
Cieszą się, że będą miały z kim zagrać w kolory,
Dostojne, smukłe sosny, jałowce kosmate,
Szumem powitały nowy, na polanie, kwiatek.*

*I zostały niezabudki w pobliżu strumienia,
Co roku późną wiosną błękitem się mieniąc...
Wieczorami przywiązania urok roztaczają,
Pierwsze chwile na polanie dobrze pamiętając..*

Jolanta Maria Dzienis



Nikifor

130. rocznica urodzin

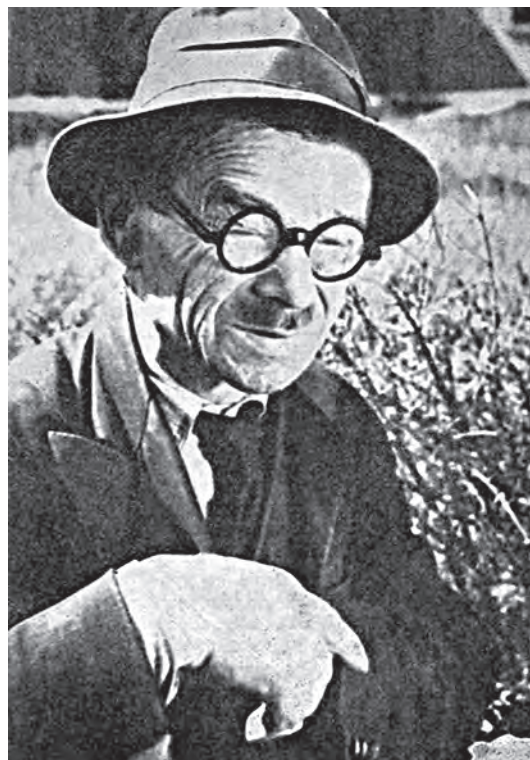
Nikifor zwany też Nikiforem Krynickim; (właśc. Epifaniusz Drowniak) urodził się w 1895 roku w Krynicy-Zdrój, zmarł w 1968 tamże. Samouk, zaliczany do grona najwybitniejszych na świecie malarzy tzw. naiwnych, prymitywistów.

Był z pochodzenia – po matce – Łemkiem (jego ojciec był Polakiem, według legendy – uznanym malarzem, kryptonimowanym jako “T”). Także po matce, która wychowywała go samotnie, w wielkiej biedzie i poniewierce, zajmując się do różnych prac gospodarskich, odziedziczył wadę słuchu i wymowy. Osierocony podczas I wojny światowej, nie umiejący porozumieć się z otoczeniem, traktowany był początkowo przez krynicką społeczność jako odmieniec – izolowany fizycznie i psychicznie, wyśmiewany. Nie wiadomo, skąd wzięło się jego imię (przezwiśko? oryginalnie brzmiało ono prawdopodobnie Netyfor), w każdym razie używał go od najmłodszych lat. Przez długi czas posługiwał się wyłącznie tym imieniem. W roku 1949, przy okazji pierwszej indywidualnej wystawy prac, która odbyła się w warszawskim salonie SARP-u, mianowano go okazjonalnie “Janem Nikiforem” (uwiecznił to afisz). Dopiero w 1963 roku urzędowo nadano mu nazwisko “Krynicki”, co stanowiło przypieczętowanie administracyjnej normalizacji jego statusu (jednocześnie od władz Krynicy otrzymał mieszkanie). Natomiast w 2003 roku sąd w Muszynie rozstrzygnął, że prawdziwe imię i nazwisko Nikifora to: Epifaniusz (Epifan) Drowniak.

Nie wiadomo również, kiedy zaczął rysować i malować. Od początku jednak przejawiał ogromną wolę dążenia do celu, jaki sobie wyznaczył – być malarzem, być “Matejką z Krynicy”. Czuł się zresztą krynickim patriotą lokalnym – dwukrotnie w ramach akcji “Wisła” wywożony w odległy koniec Polski, z uporem wracał do rodzinnego miasta.

Najwcześniejsze zachowane prace Nikifora pochodzą sprzed 1920 roku. Jest wśród nich wiele takich, które uwiadcniają trud doskonalenia umiejętności przyszłego artysty. Jak pisał Tadeusz Szczepanek:

Zachowane rysunki są w większości szkicami ‘par excellence’ studyjnymi, noszą ślady gumki, wycierania, poprawianie niewłaściwie położonych linii. Nikifor stara się opanować, doskonalić perspektywę zbieżną, wykreślić osie symetrii, przesunąć punkt przecięcia linii w coraz inne miejsce, próbuje swych możliwości w perspektywie ptasiej i żabiej.



Podobne wrażenie robi tzw. szkicownik architektury sakralnej powstały kilka lat później. Zdradza on zarazem obszar szczególnych inspiracji Nikifora, którym była grecko-katolicka cerkiew. Znaczna część jego prac przedstawia pejzaż z sylwetką cerkwi w tle (Cerkiew o zachodzie słońca, lata 20.; Biskup przed cerkwią, około 1930; Cerkiew w miasteczku, około 1962), wnętrza świątyni (Kapliczka, około 1930; Ostatnia wieczerza, b.d.) lub hieratyczny wizerunek świętego (Święty Mikołaj, lata 20.; Święty na drodze, przed 1956). Obok nich pojawiają się tematy świeckie: liczne krajobrazy krynickie (Krynica – pijalnia, lata 30.; Willa “Zachęta”, Willa “Rusałeczka”, Budynek Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, wszystkie z lat 1940–1945; Niebieska willa, lata 1950–1955; Kościół w Krynicy, przed 1962) i mniej liczne krakowskie (Kraków – Kościół mariacki, lata 1964–1966) oraz warszawskie (Pejzaż miejski – Warszawa, 1965), fragmenty architektury (Fragment architektury miejskiej, lata 30.), często całkowicie fantastycznej (Brama fantastyczna, b.d.), wnętrza budynków (U fryzjera, U krawca, Trafika, wszystkie z lat 30.), dworce kolejowe i wijące się malowniczo między wzgórzami tory, którymi Nikifor był szczególnie zafascynowany (Tory kolejowe, Stacja Bihcz,



MAJ 2025

(„Arkady” 1938, nr 3). Pisał on:

Ze sztuką tą (Nikifora) zetknęliśmy się ja i moi przyjaciele przed paru laty w Paryżu, zetknięcie było olśniewające, pamiętam dotąd chwilę, kiedy w pracowni Janów Cybisów stanąłem po raz pierwszy wobec tych małych akwarelek i [...] dotąd nie ochłonąłem z podziwu. Uderzyła mnie w tych pracach niezwykła dojrzałość i [...] odrębność [...]. Zamalowano w ciągu wieków niezliczoną ilość kawałków płótna i deski, a te kawałeczki papieru nie przypominały [...] nic, com widział. [...] Te małe obrazki są proste jak natura, jedyności ich polega wyłącznie na tym, że najzupełniej szczerze zobaczono rzeczywistość innymi niż wszyscy oczyma. [...] W absolutnej wrażliwości Nikifora na barwę, którą porównać można do absolutnego słuchu, przeglądają się [...] nasze własne marzenia malarskie [...].

Dalej Wolff stwierdzał, że Nikifor:

[...] pracuje zawsze w gamach, każdy jego obrazek jest rozwiązaniem przynajmniej trzech elementów barwnych; zestawienia są przy tym bardzo dziwne i nieomyślne. Dziwność ich spowodowana jest abstrakcyjnością jego malarskiego podejścia, ale abstrakcyjność ta nie ma nic wspólnego z nierealnością, jego świat jest zawsze najzupełniej konkretny, jest tylko konieczne oderwanie się od przedmiotu po to, by przedmiot odтворzyć poprzez malarstwo.

Dla Nikifora tekst okazał się rodzajem dyplomu - traktował go jako świadectwo zezwalające na uprawianie malarstwa: okazywał nieznajomym, prezentował krynickim turystom. Nadal jednak żył i pracował w osamotnieniu, a przede wszystkim w biedzie, bo od nieznanego mało kto kupował obrazy. Dopiero w latach 50., a zwłaszcza w 60. jego pozycja jako artysty zaczęła wzrastać (choć jeszcze z lat 50. zachował się ilustrowany list żebraczy, w którym malarz prosił o „kawałek płótna czy też jedzenie czy pieniądze” i oferował do sprzedaży swoje „obrazki”, za które żądał, jak przejmująco pisał, „bardzo tanio, aby tylko żyć”). Stopniowo jednak osiągnął popularność, przede wszystkim dzięki powtórnemu odkryciu - przez małżeństwo Elę i Andrzeja Banachów. Banachowie nie tylko publikowali poświęcone mu artykuły i książki (pierwsza - „Nikifor, mistrz z Krynicy” Andrzeja Banacha - ukazała się już w 1957 roku), organizowali wystawy, ale również często odwiedzali go i zapraszali do siebie, opiekowali się nim, służąc pomocą w trudach codziennej egzystencji (losy tej znajomości oraz losy zabiegów o sławę malarza opisali w książce „Historia o Nikiforze”, wznowienie 2004). Oddanym (z czasem prawnym) opiekunem malarza, towarzyszącym mu od początku lat



60. w codziennym życiu, stał się także Marian Włosiński - również malarz, który jednak poświęcił swoją twórczość, podobnie jak swoje życie, Nikiforowi (uważał go za geniusza). Dzieje tej niezwykłej przyjaźni opowiada film fabularny *Mój Nikifor* Krzysztofa Krauzego (rolę Nikifora zagrała w nim kongenialnie Krystyna Feldman). Premiera filmu w 2004 roku przyczyniła się do ponownego wzrostu zainteresowania krynickim samoukiem, a co za tym idzie - spowodowała kilka wystaw oraz wznowienie niektórych publikacji dotyczących jego i jego sztuki, jak wspomniana „Historia o Nikiforze”. Obok niej trzeba wymienić książkę Andrzeja Banacha „Nikifor” (1984; wznowienie 2004). W ostatnich latach pojawił się również album „Nikifor” ze wstępem Andrzeja Osęki (2000). Do popularyzacji sztuki krynickiego prymitywisty bardzo przyczynił się też Aleksander Jackowski - wieloletni, niestrudzony badacz twórczości polskich artystów „naiwnych”.

Historia sławy Nikifora obejmuje również dzieje wystaw: począwszy od pierwszej indywidualnej krajowej w roku 1949, poprzez szereg zagranicznych, od końca lat 50. (Paryż - galeria Diny Vierny), Amsterdam, Bruksel-

la, Liege, 1959; krytycy porównywali malarza do Celnika-Rousseau), przez lata 60. (Haifa, 1960; Wiedeń, Baden-Baden, Frankfurt nad Menem, Hanower, 1961). Wymienić też trzeba retrospektywy: pierwsza miała miejsce w 1967 roku w warszawskiej Zachęcie, ostatnia prezentowana jest od 13 kwietnia do 11 czerwca 2023 roku w Kowieńskiej Galerii Obrazów Narodowego Muzeum Sztuki im. M.K. Čiurlionisa. Przekrojowa ekspozycja współorganizowana jest przez Instytut Adama Mickiewicza i Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie. Znalazło się na niej ponad 100 prac z kolekcji warszawskiego muzeum, obejmujących przekrój podejmowanych przez artystę tematów: od miejskiego pejzażu, przedstawień architektury realnej i fantastycznej, przez wnętrza świątyń i sklepów, po wizerunki świętych.

W roku 1995 w krynickiej willi "Romanówka" otwarto Muzeum Nikifora (jako oddział Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu). Zaś na początku 2005 roku miejscowa społeczność łemkowska wystąpiła z inicjatywą ufundowania pomnika artysty. O sile oddziaływania "obrazków" Nikifora świadczy także wrażenie, jakie wywarły na Edwardzie Dwurniku, który pod ich wpływem zmienił poetykę swojego malarstwa ("wykorzystał" między innymi charakterystyczną czarną kreskę). Tak na ten temat mówił:

Nigdy nie przeżyłem większych emocji od tych, które wzbudziły we mnie jego obrazy oglądane na żywo. Pierwszy raz zobaczyłem je [...] w 1965 roku. [...] Próbowałem wtedy rysować architekturę, ale dopiero jak zobaczyłem tę wystawę, wiedziałem od razu, jak trzeba to robić. [...] Był skończonym malarzem, wspaniałym, głębokim, podchodził do malowania jak mistrzowie renesansu, klasycznie uczciwie. [...] Wszystko, co malował, jest ZOBACZONE. A potem to zobaczone tasowało się w jego pamięci, wyobraźni, swobodnie. On wyzwał się wspaniale z przymusu rzeczywistości i kreował obraz, świat, własną ich strukturę.



Opowiadał sobie, malował swój kosmos".

Małgorzata Kitowska-Łysiak
culture.pl



Andrzej Brochocki

SUNNY SIDE

cóż poradzę na to że słoneczna
jest zawsze tamta strona ulicy
a tu jedynie czerwone światła
na skrzyżowaniu przez które
nie prowadzi żaden dżi pi es
bo nie wie dokąd chcę iść
ja też nie wiem a moi doradcy
za te srebrniki hojnie im dane
piją whisky w barze zapomnienia
na tamtym rogu gdzie wszystko
jest w tę albo w tamtą i nie ma
to naprawdę żadnego znaczenia
kiedy się szuka najlepszej drogi
z pustki w pustki bo nie było
takiego atlasu ani mapy
które by to wskazały bo już
Ptolemeusz ze swoją zabłądził
trzymając objawiony świat
do góry nogami i nie dotarł
na tę słoneczną stronę ulicy

wrzesień 2024 r

Jerzy Górnicki

ZAPACH KAWY

Ranek zaczyna się zapachem kawy,
snuje się z białego kubka,
wędruje za mną po pokojach,
towarzyszy jak niewidoczny cień.
Zapach kawy karmi wyobraźnię,
nie dosypuję do niej cukru,
by nie przestodzić.

W kawiarni siedziała dziewczyna,
samotna w oczekiwaniu,
zdążyła wypić kawę, lecz zapach pozostał,
snuł się wokół mnie jak mgła,
oddychałem szybko, paloną goryczą
pasowała do opalenizny dziewczyny,
co chwilę spoglądała na zegarek,
aż odeszła z zapachem kawy.

Warszawa, grudzień 2012

Leokadia Komańszko

FLOKSY

Liliowe floksy
pod oknem
i przy bramie.
Nie obrywaj
tych kwiatów, proszę.
W nich przecież pachnie
mej Matki Dusza

Belgia 2024

Wiesław Janusz Mikułski

los czasem
plącze mi się
pod nogami
biegnie czas
spływają dni
między gwiazdami
tyle było słów
wyschły do rdzy
na szrocie lat
idę wśród snu
z bliznami dni
w Twój Boski świat..



Fot. Aneja Łabuszko-Łabuszewska

Święto Konstytucji 3-go Maja



USTAWA RZADOWA.

PRAWO UCHWALONE.

Dnia 3. Maja, Roku 1791.



w WARSZAWIE;
w Drukarni Uprzywilejowanej M. GRÖLLA;
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

Dniu radości, dniu wesela!
Jak szeroki polski kraj,
Niechaj okrzyk w niebo strzela
Vivat! Vivat! Trzeci Maj!

Naród z królem, król z narodem
Odrodzenia ziścił sen ...
w upojeniu cudnem, młodem
niech nam dzień rozbłyska ten

Trzeci Maja! ... Wielki Boże!
dłonie bratnie złączmy wraz!
Cóż się oprze, któż nas zmoże?
Bóg nad nami! Polska w nas!

Zorza świta, dzień się rodzi –
Po wolności sięgnij raj!
W górę serca starzy, młodzi!
Vivat! Vivat! Trzeci Maj.

"Radosny dzień" Józef Relidziński

Halina Poświatowska

90. rocznica urodzin

Halina Myga, która przeszła do historii polskiej literatury jako Halina Poświatowska, urodziła się 9 maja 1935 r. w Częstochowie. Gdy w styczniu 1945 r. sowieckie wojska wyzwalały miasto, rodzina Mygów spędziła kilka nocy w zimnych piwnicach. Halina zachorowała na anginę, która przeszła w gorączkę reumatyczną i zapalenie wsierdza. Ono z kolei doprowadziło do wówczas nieuleczalnej choroby serca: niedomykalności zastawki dwudzielnej i stenozы mitralnej. Przyszła poetka została praktycznie wyłączona z życia, wiele czasu spędzała w szpitalach i sanatoriach. Przy wysiłku traciła oddech, czuła klucie w płucach, ból pod lewą łopatką. Nie mogła bawić się z rówieśnikami, nie wolno jej było biegać, skakać, tańczyć, pokonanie schodów było dla niej wielkim problemem. Matka strofowała ją nawet za głośny śmiech – bo śmiech też męczy.

CHOROWAŁA OD DZIECKA

Matka, Stanisława Mygowa, wspominała w audycji radiowej w 1971 r.: „Halszka uczyła się sama, mogłaby równie dobrze zostać analfaberką. Zachorowała jako 9-letnie dziecko. Jak mogłaby żyć, gdyby nie ciągła ciekawość świata? Nie chciała życia w fotelu, nie chciała życia beczynnego. Chciała żyć”.

Kiedy stan zdrowia Haliny poprawił się, zdała egzaminy do dziewiątej klasy i została przyjęta do prywatnego gimnazjum „Nauka i Praca”. Po jego zamknięciu przeniosła się do żeńskiego I Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego. Pod koniec 1950 r. z powodu złego stanu zdrowia przerwała naukę w liceum, do którego już później nie wróciła.

Maturę zdała eksternistycznie w połowie czerwca 1955 r. Dostała pięć piątek – z polskiego, historii, biologii, geografii z geologią, fizyki z astronomią, i cztery czwórki – z rosyjskiego, nauki o konstytucji, matematyki i chemii.

Halina buntowała się przeciwko ograniczeniom narzucanym przez chorobę. Chciała żyć, jak normalna, zdrowa kobieta. Uwielbiała się stroić i dobrze wyglądać. „Lata 60., szare ulice, szarość, szarość, szarość. Jakby z popiołu świat. I na tej ulicy Haśka. Ona nigdy nie poruszała się sama, zawsze ktoś jej towarzyszył. Była nie tylko niezwykle piękna, ale też zupełnie inaczej wyglądała, bo koleżanki z Ameryki przysyłały jej ciuchy, które naprawdę było widać. Haśka wyglądała jak kolorowy ptak w kurniku. Jak się z nią szło przez ulicę, to



sto procent ludzi oglądało się za nią, kobieta czy mężczyzna, wszyscy” – wspominał brat poetki, Zbigniew Myga.

Jako 18-latką w sanatorium w Kudowie poznała swojego męża, 23-letniego malarza i filmowca Adolfa Ryszarda Poświatowskiego, także chorego na serce. Wyszła za mąż wbrew radom rodziny i lekarzy. Nie zamierzała poświęcić życia na chorowanie, chciała czuć się kobietą, a nie kaleką. Małżeństwo nie trwało długo, Adolf zmarł na serce wiosną 1956 r. Halina dowiedziała się, że została wdową, podczas kuracji w Rabce. Miała 20 lat.

DEBIUT LITERACKI

W tym samym roku zadebiutowała, publikując swoje wiersze w „Gazecie Częstochowskiej”. Za jej odkrywcę uważa się krytyka literackiego i poetę Tadeusza Gierymskiego, który – jak sam napisał w artykule „Pożegnania poetki” w tejże gazecie w 1967 r. – zrobił to z litości, nie oceniając jej poezji bardzo wysoko. Jej pierwszy zbiór poezji „Hymn bałwochwalczy” pojawił się rok później i zebrał przychylne opinie krytyków i poetów. Następne wiersze zebrane zostały w trzech kolejnych tomikach poezji: „Dzień dzisiejszy” (1963),

“Oda do rąk” (1966) i “Jeszcze jedno wspomnienie” (1968, pośmiertnie).

“Spotkanie z poezją Poświatowskiej jest dla mnie niezwykłym doznaniem. Bo chyba żadna poetka nie potrafiła tak sensualnie ująć zjawiska miłości jak ona. Całe jej życie było tańcem na linie, lawirowaniem między życiem a śmiercią. A właściwie było grą z samym życiem o każde przeżycie, każdą emocję, każde doznanie. O jeszcze jeden pocałunek, o bliskość i miłość. Szczególnie tą zmysłową, stąd też pomysł na słuchowisko. Aby właśnie w tym intymnym, tak bliskim spotkaniu spróbować opowiedzieć o niej. O targających nią dylematach. O spotkaniu z samą sobą” - powiedziała PAP Maria Marcinkiewicz-Górna, autorka i reżyserka słuchowiska pt. “Haśka. Opowieść o Halinie Poświatowskiej”.

Poświatowska jest zaliczana do tzw. pokolenia “Współczesności”, obok m.in. Andrzeja Bursy, Stanisława Grochowiaka, Marka Hłaski i Mirona Białoszewskiego, debiutujących ok. 1956 r. Ona sama nie identyfikowała się z żadną grupą literacką. W jej twórczości przeplatają się motywy kruchości życia, miłości i śmierci, szkicu portrety kobiet pragnących miłości i świadomych przemijania.

“Poezja Haliny Poświatowskiej czytana po latach nic nie traci ze swojej energii, ze swojej nerwowości, ze swego drżenia, ze swej zmysłowości. Im późniejszy wiersz, tym bardziej ma się wrażenie, że autorce spieszyło się. To oczywiste, że miała wielką potrzebę wypowiedzi, ekspresji - i tragiczne poczucie, że brakuje jej czasu. Już nawet nie szukała tytułów, wiersz opatrywała asteriskami [znak graficzny w kształcie gwiazdki, stosowany zamiast tytułu utworu poetyckiego - przyp. PAP]” - powiedział Adam Zagajewski, cytowany w książce “Poświatowska we wspomnieniach i inspiracjach” (2016) autorstwa Kaliny Słomskiej i Zbigniewa Mygi.

Malarka i poetka Sabina Lonty oceniła, że Poświatowska “słowem, jak pędzlem, malowała poetyckie obrazy”. “Skazana na szpitalną egzystencję, silniej odczuwała tętno życia - jego barwy, zapach i piękno. W jej wierszach jest wszystko: zachwyt, miłość, tęsknota, ból, ciągle cierpienie, samotność i osvajanie się ze śmiercią...” - mówiła Lonty.

Hanna Banaszak, wokalistka jazzowa i estradowa, poetka wyznała w książce “Poświatowska we wspomnieniach i inspiracjach”, że w poezji Haśki “ogromne wrażenie zrobił na niej splot najgłębszych ludzkich emocji z pogranicza miłości i przemijania



oraz bolesny, poetycki zapis odchodzenia pięknej, młodej, inteligentnej i utalentowanej osoby. [...] Czytając strofy Poświatowskiej, stajemy się niejako osobami towarzyszącymi tej zrozpaczonej dziewczynie w kresowym odczuwaniu życia. To tak, jakbyśmy trzymali ją za rękę, aż do ostatniego, najcichszego tchnienia”.

SZANSA OD LOSU

Poetka dostała od losu szansę na kilka lat normalnego życia dzięki ryzykownej operacji przeprowadzonej w Filadelfii. “Wolę umrzeć na stole operacyjnym, niż żyć, dusząc się powoli” - mówiła. Po operacji jej serce prawie całkowicie odzyskało sprawność. Szansę od losu na normalne życie wykorzystała w pełni - w USA spędziła trzy lata, m.in. studiując na Smith College, tej samej uczelni co Sylwia Plath. Po powrocie do kraju zamieszkała w Krakowie, zdała na IV rok filozofii Uni-

wersytetu Jagiellońskiego i wprowadziła się do słynnego Domu Literatów na ul. Krupniczej. Zakochała się w chłopaku młodszym od niej o siedem lat, Lubomirze Zajacu. Zabierał ją na imprezy, na wędrowniki w góry – a przecież jej wada serca już się odnawiała. Nie chciała się przed nim przyznać, jak bardzo jest chora, bała się, że ją zostawi. Romans miał bardzo dramatyczne zakończenie. W czasie jednej z kłótni Poświatowska połknęła kilka garści tabletek digitalisu. “Patrząc, jak słoik z tabletkami wypada jej z ręki i toczy się po podłodze, prosi: Zawieź mnie do kliniki. Teraz”.

Przez kilka następnych dni z trudem odróżnia jawę od snu. Po tygodniu jej serce spokojnie, wystrza się wzrok i myśli. Do kontaktów z Lubomirem już nie dojdzie” – pisała w swej książce Kalina Błażejowska.

TRAGICZNA ŚMIERĆ POETKI

Mężczyzną, który zostawił najwyraźniejszy ślad w twórczości Poświatowskiej, był Ireneusz Morawski, niewidomy poeta. Poznali się w Częstochowie w 1956 r., pisali do siebie, kiedy Halina była w Stanach. Ale kiedy Poświatowska wróciła do Polski, Ireneusz zerwał z nią kontakty. Chciała opublikować ich korespondencję, ale Morawski nie zgodził się. Buntował się przeciwko kreacji literackiej, nazywał to wyprzedawaniem uczucia. Jego listy do Poświatowskiej pt. “Tylko mnie pogłaszcz” ukazały się dopiero w 2017 r. nakładem wydawnictwa Prószyński i S-ka.

“Halina Poświatowska ze względu na swoje wiersze o miłości i wczesną śmierć otoczona jest nimbem sentymentalizmu. Jednak gdy lepiej pozna się jej biografię, można zauważyć też jej inną twarz – była złośliwa, egocentryczna, uparta. I muszę przyznać, że ta druga twarz Poświatowskiej bardziej mnie pociąga” – mówiła w wywiadzie dla PAP Kalina Błażejowska, autorka biografii Haliny Poświatowskiej “Uparte serce” (2014).

Poświatowska dostała kilka darowanych lat życia, ale choroba wróciła. Sukces amerykańskich lekarzy okazał się przejściowy, organizm Haliny wracał do stanu poprzedniej niewydolności. Upalne lato 1967 r. spędziła w szpitalu w Krakowie. Lekarze uznali, że kwalifikuje się do operacji wstawienia sztucznej zastawki, ale ostrzegali ją przed ryzykiem. Poświatowska zdecydowała się: była zdesperowana. 3 października 1967 r. przeszła operację w warszawskim szpitalu przy ul. Płockiej. Przez tydzień jej stan na przemian pogarszał się i poprawiał, była przytomna. Zmarła 11 października w wieku 32 lat.

Została pochowana na częstochowskim cmentarzu św. Rocha.

Katarzyna Krzykowska



*Jestem Julią
mam lat 23
dotknęłam kiedyś miłości
miała smak gorzki
jak filiżanka ciemnej kawy
wzmogła
rytm serca
rozdrażniła
mój żywy organizm
rozkołysała zmysły*

odeszła

*Jestem Julią
na wysokim balkonie
zawisła
krzyczę wróć
wołam wróć
plamię
przygryzione wargi
barwą krwi*

nie wróciła

*Jestem Julią
mam lat tysiąc
żyję -*



Fot. Jolanta Mesjasz-Przybyłowicz

Trop stomatologiczny

Maciej Pinkwart

Mariusz Koperski w ostatnich wyborach samorządowych nie został burmistrzem Zakopanego. Miasto pod Giewontem być może na tym straciło, Zakopianczycy zdecydowali jednak inaczej, ale jeśli dziś sarkają i biją się w piersi za tę decyzję, to mają za swoje: *sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało*, jak pisał Molier piórem Boya-Żeleńskiego. Ja to się nawet z tego cieszę, bo po pierwsze i tak zostałem skazany na dożywocie w Nowym Targu, a poza tym widząc, jak jest teraz w Zakopanem wiem, że jako burmistrz Koperski nie miałby czasu ani na sympatyczne spotkania w Kmicicu, ani na jeżdżenie na nartach na Kasprowym, ani na pisanie kryminałów. Tego ostatniego byłoby mi szkoda najbardziej.

Od ukazania się poprzedniej książki tego autora (w wydawnictwie Astraia) minęły cztery lata, a *Pasja Mateusza* nie była kryminałem, tylko podhalańską wersją *Stu lat samotności* Marqueza. Choć i tam trup ścielił się gęsto, to jednak poprzedni *pełnokrwisty*, że się tak wyrażę, kryminał Mariusza Koperskiego dotarł do czytelników w 2021 roku i nosił niezbyt atrakcyjny tytuł *Amator zbrodni*. Tytuł najnowszej książki zafrapował mnie od razu: na okładce (autorka: Marta Brincken-Czech, no bo ja wiem...) pojawiły się słowa:

Widziałam Joannę.

Rzecz jasna, natychmiast chciałem to przeczytać, i ze względu na imię tytułowe, i ze względu na *femininum* w orzeczeniu. Nie mówiąc już o dość oczywistym nałogu czytania Koperskiego.

Główna (choć nie tytułowa) bohaterka powieści, dentystka z Krakowa i pasjonatka narciarstwa, kobieta po przejściach, wsiada do wagonika kolejki jadącej na Kasprowy. Jest wietrznie, mgła, pada śnieg – kolejarze ostrzegają, że najprawdopodobniej powrotny kurs już nie dojdzie do skutku z powodu nasilającego się wiatru. Pani doktor spostrzega w wagoniku kobietę w kurtce modnej firmy, jaką sama chciała kiedyś kupić i z tego powodu ją zapamiętuje. Na górnej stacji kolejki okazuje się, że kobiety w modnej kurtce wśród wysiadających pasażerów nie ma – alarm podnosi jej mąż, który widział ją jeszcze, jak odjeżdżali z Myślenickich Turni.

Zniknięcie z zamkniętego wagonika w czasie jazdy na Kasprowy jest – bez interwencji sił nadprzyrodzonych – niemożliwe. Wszelkie inne ewentualności są nieprawdopodobne. I w tej sytuacji do akcji śledczej wkracza bohaterka – jedyna, poza zrozpaczonym mężem, osoba, która potwierdza, że Joanna w modnej kurtce naprawdę w kolejce była. Na Kasprowym szaleje wichura, nie widać niczego nawet na odległość kijka od nart. Przekonuje się



o tym dentystka Iza, którą pogoda zawraca z trawersu na Goryczkową, mimo że jest dobrą narciarką i zna Kasprowy doskonale. Tymczasem w zatłoczonej poczekalni górnej stacji, przed wejściem do restauracji, umiera starszy narciarz. Obecny wśród uwieczonych przez pogodę na Kasprowym ponad trzydziestu osób lekarz, przypadkiem profesor-kardiolog stwierdza rozległy zawał. W dodatku matka Izy, wierząca we wszystkie teorie spiskowe, donosi jej telefonicznie, że telewizja już podaje informacje o horrorze na Kasprowym. Dentystka rozpoczyna śledztwo.

Kobiety w roli detektywów, działające samodzielnie lub u boku dzielnych zakopiańskich policjantów pojawiały się w książkach Koperskiego już wcześniej – w *Amatorze zbrodni* była to oszałamiająco seksowna komisarz Ewa Konarska, która w *Joannie...* pojawia się pod koniec akcji, by postawić w niej przedostatnią kropkę. Teraz seksowność pani komisarz – jak zresztą jakiegokolwiek innej opisywanej w ostatniej powieści kobiety – nie jest raczej specjalnie eksponowana, czemu się zresztą wcale nie dziwię w zakopiańsko-kościelisk-

kich okolicznościach, w jakich funkcjonuje autor. Pod względem seksualności *Widziałam Joannę...* mogłaby być omawiana w podhalańskich liceach. Co prawda zarówno Iza – młodsza koleżanka panny Marple – klnie jak szewc, podobnie jak prawie wszyscy bohaterowie powieści, ale najprawdopodobniej i tak nie są oni w stanie przeliczyć miejscowych nastolatków. Ale cieszy to, że Mariusz Koperski wszystkie swoje powieści traktuje jak swojego rodzaju zakopiańską sagę kryminalną, w której pewne wątki, osoby i miejsca stają się elementami *constants*, pozwalającymi czuć się trochę jak u siebie w celi. Takim elementem jest świat rekinów wielkiego biznesu, komisarka (słowo daję, tak autor pisze!) Ewa Konarska, no i oczywiście kawiarnia „Kmicic”, gdzie musi odbywać się choć jedno spotkanie, bez której zresztą Zakopane byłoby równie nieprawdziwe, jak bez kolejki na Kasprowy.

Akcja biegnie ogromnie wartko, tak że momentami się gubimy, zwłaszcza że autor – stosownie do jednej z reguł literatury kryminalnej – co i raz podsuwa nam fałszywe tropy i kieruje nas w ślepe z pozoru zaułki, które z czasem jednak okazują się bocznymi drogami, prowadzącymi do głównego wątku. On zresztą w pewnym momencie okazuje się zupełnie inny, niż był na początku. Sprawa znikającej w wagoniku Joanny nie jest bynajmniej błaha, lecz nasza doktor stomatolog rozwiązuje ją zgodnie z regułą Sherlocka Holmesa: *Gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą* (Znak czterech, 1890).

Mniej więcej w środku upiornego popołudnia, wieczoru i nocy na Kasprowym, gdzie w budynku stacyjnym zostali uwięzieni przez pogodę uczestnicy dramatu, tempo nieco spada, poprzez przeniesienie narracji na formę dialogu. Ale rozmowy, które toczy bohaterka bezpośrednio, przez telefon czy w internecie, choć zatrzymują akcję bieżącą, powoli zbliżają nas do prawdy, nieprawdopodobnej lecz niepodważalnej. Czy na pewno? Cóż, nie tylko książdź Tischner udowadniał, że prawd może być wiele. Odkrywa to też nasza dentystka.

Kolejne zwroty akcji zaczynają przypominać jazdę śmigiem z Kasprowego i gdy wreszcie, jak się nam wydaje, mgła ustępuje, wiatr cichnie i możemy puścić się na krechę nartostradą wiodącą do celu – autor funduje nam kolejny suspens. I kolejny. I kolejny.

Widziałam Joannę to niemal gotowy scenariusz filmowy. Zresztą pisałem tak już w odniesieniu do innych powieści tego autora. Ale, oczywiście, to temat zbyt niepoważny dla polskich filmowców. Jeden, dwa, trzy trupy to dla polskiego filmu za mało, trzeba od razu brać się do uśmiercania przed kamerą dziesiątek,

setek czy tysięcy osób, odwracając Asnyka i z *nieżywym naprzód iść*. A może jednak? Już mi się marzy taka obsada, z niektórymi zakopiankami i zakopiańczykami w rolach głównych... Nazwiska podam na kawce w „Kmicicu”.

Cieszę się, że wydawnictwo zrezygnowało z publikowanych wcześniej podtytułów będących rzekomo marką serii: *zakopiańska powieść kryminalna*. Teraz w podtytule na okładce widnieje *powieść sensacyjna*. Czy to konieczne? A jeśli tak, to czy nie lepiej byłoby to umieścić na którymś z gęsto zadrukowanych skrzydełek okładki?

Mariusz Koperski, *Widziałam Joannę*, Wydawnictwo Astraia, Kraków 2024, 303 strony.

KĄCIK LITERACKI

Józef Zdunek

cofam się do granicy niepamięci
dalej już tylko ciemna plama
urodziłem się za późno

z lat chłopięcych pamiętam
opowieści osób starszych
mądrych i doświadczonych
walczących o wolność
ojczyzny

to szeregowi bohaterowie
zasługują na uznanie
a ich opowieści o wojnie
na utrwalenie
na piśmie albo w innej formie

teraz już za późno

to wielki mankament



Roxana Gonzales: Matczyna miłość

MAMOM - W DNIU ICH ŚWIĘTA - WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!



Łemkowszczyzna

Łemkowszczyzna to potoczna nazwa obszaru zamieszkiwanego przez Łemków. **Łemkowie** zaś to wschodniosłowiańska grupa etniczna, stanowiąca integralną część narodu rusińskiego. Do okresu wysiedleń, mających miejsce w latach 1945–1947 zamieszkiwali w zwartej grupie obszar Beskidu Niskiego i Bieszczad. Lud łemkowski, żyjąc przez wieki między Odrą a Bugiem, wytworzył swoją fascynującą kulturę i obyczajowość, zachował własną sztukę oraz specyficzny folklor.

Najbardziej wyrazistym przejawem kultury materialnej Łemkowszczyzny są niewątpliwie ich świątynie, zwane cerkwiami. **Cerkiew** (z gr. kyriaké) znaczy dom Pana. Wiele z nich już nie istnieje, ale te, które przetrwały zawieruchy wojenne są obecnie główną atrakcją krajoznawczą Łemkowszczyzny. Ich baniaste i płomienne kopuły od dawna już wrosły w krajobraz Karpat, podobnie jak ich tajemniczy dla wyznawców innych religii wystrój z ikonostasem na głównym ołtarzu.

Łemkowskie zagrody były praktycznie jednobudynkowe. Chatę taką nazywano **chyżą**. Mieściła ona dom mieszkalny, a także pomieszczenia gospodarcze. Nad całością znajdował się obszerny strych pełniący rolę

stodoły. Największą zaletą tego typu budownictwa, oczywiście w górskim klimacie była ochrona przed stratami ciepła. Domy budowano zatem tak, aby część mieszkalna znajdowała się od strony południowej. Chyże stawiano ze świerkowych lub jodłowych półbali, układanych zrębowo. Drewniana konstrukcja łemkowskiego domu, opierała się na podmurówce wykonywanej z kamieni spojonych ze sobą gliną.

Układ pomieszczeń był szeregowy, umieszczano w chacie część mieszkalną, stajnię i boisko, gdzie trzymano wóz. Część mieszkalna podzielona była na izbę, alkierz i sień wraz z komorami. Pokrycie chyży stanowił krokwiowy dach dość dużych rozmiarów, gdyż musiał pomieścić spore ilości siana zgromadzonego tu na zimę.

Wewnątrz izby chodziło się po glinianym klepisku. Tylko najbogatsi chłopcy mieli podłogę z desek. Światło dochodziło do wnętrza domu, przez małe, liczne okienka. Niskie futryny miały na celu utrudnienie dopływu świeżego powietrza do izby. Łemkowskie chyże nie były bogate w zdobienia. Dekoracje stolarskie były nieliczne, za to często malowano ściany

od zewnątrz. Szpary między szwałami (przerwami między balami upchanymi mchem lub trocinami) dokładnie bielono, wcześniej wypełniając gliną.

Dawni mieszkańcy dzisiejszej Łemkowszczyzny zajmowali się głównie rolnictwem i hodowlą bydła i owiec. W niemal każdym gospodarstwie chowano także krowy, świnie, gęsi i kury. Gospodarowanie na roli nie było łatwe. Warto pamiętać, że gleba w górskim terenie nie sprzyjała temu, była mało urodzajna, więc często ciężko było się wyżywić z uzyskanych plonów. Łemkowie zatem udawali się na roboty sezonowe na nizinach. Dopiero okres międzywojenny przyniósł poprawę, pojawiły się nawozy mineralne, lepsze narzędzia i sprzęty, w tym żelazne pługi, ko-

siarki do siana. Ale pomimo tego Łemkowie zaczęli mieć się dodatkowych zajęć, które przynosiły im możliwość zarobkowania.

Kobiety zajmowały się uprawą lnu, z którego tkano płótna, zbierały też w lasach grzyby i jagody, które sprzedawały w mieście. Natomiast mężczyźni trudnili się ścinką drzewa i jego obróbką. Wytwarzano także gonty, potrzebne w budownictwie do krycia dachów. Lasy iglaste umożliwiały Łemkom wytwarzanie smoły np. do smarowania wozów. Wytapiano też dziegieć stosowany w medycynie i weterynarii.

Ewa Michałowska - Walkiewicz



KĄCIK LITERACKI

Sławomir Maszewski

DO K...

Spotkałem Cię przed laty -
podarowałaś mi garść uśmiechów,
a ja schwytałem ich bursztynową barwę
i schowałem głęboko w sakwie z marzeniami,
przecież byłem niemy,
z ustami opieczętowanymi
jednym, wszechwładnym imieniem...

Spotkałem Cię wczoraj -
piękne oczy nadal mają moc

księżycowej pełni
i uporczywie szukają życia,
a ono usiłuje odlecieć w przeciwnym kierunku,
za horyzont uniesień...

Wiem, że wkrótce zniknę
za firmamentem upadłych gwiazd,
ale jeszcze przez chwilę Twoja magia,
zawiruje między słowami
nienapisanego wiersza.

Władysław Hańcza 120. rocznica urodzin

Wybitny polski aktor, reżyser, dyrektor teatru. Właściwie Władysław Tosik. Urodził się 18 maja 1905 roku w Łodzi, zmarł 19 listopada 1977 roku w Warszawie.

Syn Władysława Tosika i Karoliny z domu Chanieckiej. Dwukrotnie żonaty, jego pierwsza żona to Helena Chaniecka (ich synem był aktor Władysław - także Włodzisław - Hańcza, zmarły w 1966 roku), druga - słynna aktorka Barbara Ludwiżanka.

Władysław Hańcza był absolwentem Gimnazjum Humanistycznego im. Skorupki w Łodzi (matura w 1924 roku). Studiował polonistykę na Uniwersytecie Poznańskim. W tym czasie działał intensywnie w studenckim ruchu kulturalnym, był między innymi prezesem Koła Polonistów. Organizował odczyty na temat sztuki, a także nawiązywał kontakty i znajomości z poznańskim światem artystycznym. Z tego czasu datują się jego związki i przyjaźnie z pisarzem Emilem Zegadłowiczem oraz wybitną aktorką Stanisławą Wysocką. Studia polonistyczne przerwał w 1927 roku, zapisał się bowiem do Szkoły Dramatycznej działającej przy poznańskim teatrze i prędko znalazł się na jego scenie. Zadebiutował w 1927 roku rolą Hermesa w "Nocy listopadowej" Stanisława Wyspiańskiego, na razie jeszcze anonimowo. Szybko doceniono jego zdolności. W sezonie 1928/29 znalazł się - choć wciąż jeszcze jako uczeń Szkoły Dramatycznej - w zespole poznańskiego teatru. W tym czasie na afiszu po raz pierwszy pojawiło się jego nazwisko - wciąż jeszcze: Władysław Tosik. Młody aktor zagrał Makdufa w "Makbecie". Studia w poznańskiej szkole zakończył eksternistycznym egzaminem przed komisją ZASP. Od tego momentu był już pełnoprawnym członkiem poznańskiego zespołu, grając w nim na razie role drugoplanowe (między innymi Bibiego w komedii Zygmunta Kaweckiego "Para nie para"). W roku 1930, po krótkiej służbie wojskowej, Władysław Hańcza zaangażował się na jeden sezon do Teatru Polskiego w Katowicach. Wystąpił na tej scenie jako Nurek w "Przeprowadzce" Karola Huberta Rostworowskiego i Dock Berney w komedii "Papa kawaler" Carpentera.

Dwa następne sezony związał z dwoma teatrami Pomorza. Od 1931 roku występował w teatrze toruńskim, na jego scenie zagrał dwukrotnie w komediach Fredry - jako Doktor Hugo w "Dożywociu" i - niejako wbrew swoim warunkom zewnętrznym jako Albin w "Ślubach panińskich". Z tego okresu pochodzi jednak i rola dramatyczna - Doktor z "Głupiego Jakuba" Rittnera. W następnym roku



aktor spróbował swoich sił także w repertuarze operowym. Na scenie Letniej Operetki Zdrojowej w Ciechocinku wystąpił jako Sparafucile w inscenizacji "Rigoletta" Verdiego.

Do rodzinnej Łodzi powrócił w sezonie 1932/1933. Tu, już pod scenicznym pseudonimem Hańcza, brał udział w działalności zespołu Zrzeszenia Artystów pod wodzą Stanisławy Wysockiej, grając między innymi rolę Ojca w "Weselu" Stanisława Wyspiańskiego. Po tym krótkim łódzkim epizodzie powrócił do Poznania, występując w nim przez cztery sezony 1933-1937. W tym czasie Hańcza zaczął być zauważany przez uważnie śledzącą jego artystyczny rozwój krytykę. "Pan Hańcza rozwija się doskonale i z wolna wysunął się do pierwszego szeregu naszego zespołu" - tak Jerzy Koller oceniał rolę profesora Hochberga w zagranej w 1935 roku sztuce "Ludzie w bieli". Ten sam krytyk pisał z uznaniem o Hańczy jako biskupie Stanisławie z "Bolesława Śmiałego":

"Jest jednym z rzadkich dziś aktorów młodsze pokolenia, którzy nadają się do wielkich, monumentalnych figur tragedii Wyspiańskiego i klasycznego repertuaru. Zewnętrznymi warunkami, pysznym głosem, naukowym przygotowaniem artysta ten dorasta do zadania, jakiemu by niejeden pod żadnym względem nie sprostał. Jego Biskup Stanisław był ry-

cerzem i kapłanem, co więcej wcielał pewną ideę, wyglądał zaś, jak gdyby zszedł z frontonu którejs z katedr gotyckich”.

Była to nie tylko sprawa jego talentu, starannego wykształcenia i szerokich horyzontów, ale i warunków fizycznych: *“słuszny wzrost i ładna budowa ciała, po drugie charakterystyczny, łatwo wpadający w ucho timbre głosu, po trzecie wyrazista dykcja i wreszcie fluid męskości, zdrowej, zadowolonej ze świata i siebie”* - jak po latach miała scharakteryzować Hańczę Nina Andrycz. Te świetne zewnętrzne i psychiczne warunki miały w późniejszych latach zaowocować rolami magnatów. Na razie jednak Hańcza grał w Poznaniu role Wernyhory w *“Weselu”*, komediowego Nieśmiałowskiego w *“Klubie kawalerów”* Bałuckiego, grywał także w repertuarze lżejszego kalibru - na scenie wcielał się w amantów, występował także w farsach, choć przeważała opinia, że jest artystą przeznaczonym do tworzenia ról w dramatach klasycznych.

Ostatnie lata przed wybuchem II wojny światowej Hańcza znów spędził w Łodzi, tym razem grając w spektaklach Leona Schillera. W wystawionym w Teatrze Miejskim *“Kordianie”* zagrał Nieznajomego, zaś w słynnej inscenizacji *“Nie-Boskiej komedii”* Krasieńskiego wcielił się w postać Pankracego. Tuż przed wybuchem wojny znalazł się w Warszawie - jego nazwisko trafiło do opublikowanego w lipcu 1939 roku w stołecznej prasie spisu artystów zaangażowanych na sezon 1939/40 do Teatru Narodowego. Zdążył zagrać tu tylko jedną rolę - w *“Babie-dziwo”* Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej na scenie Teatru Nowego, znajdującego się w kompleksie Opery Warszawskiej i Teatru Narodowego. Komedia Jasnorzewskiej zagrana została tylko trzy razy - 6 września 1939 Teatr Nowy oraz Teatr Narodowy spłonęły trafione niemiecką bombą.

Okupację przeżył Hańcza w Warszawie. Nie uczestniczył w jawnym życiu teatralnym, występował w konspiracyjnych programach poetyckich, na co dzień pracując jako magazynier i konwojent. Przeżył powstanie warszawskie, po jego upadku wywieziono go do obozu pracy w Cottbus. Po powrocie do Polski w 1945 roku zaangażowany został do zespołu Teatru Wojska Polskiego w Łodzi, najważniejszej w tym czasie polskiej sceny. Zagrał wówczas - korzystając ze swoich wokalnych umiejętności - Bardosa w słynnych *“Krakowiakach i Góralach”*, legendarnym przedstawieniu Leona Schillera.

Spędził w Łodzi jedynie rok, aby w sezonie 1946/1947 zaangażować się do krakowskiego zespołu Miejskich Teatrów Dramatycznych. Tu zagrał świetną rolę Księdza Jana w *“Bezdrożu miłości”* Jerzego Zawieyskiego, wcielił się w rolę Kajfasza w *“Judaszu z Kariothu”* Karola Huberta Rostworowskiego, a także w Praesesa z *“Chorego z urojenia”* Moliera - role z Teatru im. Juliusza Słowackiego. Na kró-



ko powrócił do łódzkiego Teatru Wojska Polskiego, aby w 1948 roku ostatecznie osiąść w Warszawie. Od tej pory był już do końca życia artystą scen stołecznych, z nielicznymi wyjątkami reżyserskich prac w teatrach pozawarszawskich (*“Fircyk w zalotach”* Zabłockiego wystawiony w Olsztynie w roku 1950, a jeszcze wcześniej reżyseria *“Komedianta”* Władysława Bodnickiego w krakowskim Starym Teatrze w roku 1947).

Od 1948 roku aż do śmierci jego macierzystą sceną był warszawski Teatr Polski. Jego wybitnym osiągnięciem w początkach warszawskiego okresu był Bubnow z *“Na dnie”* Gorkiego w inscenizacji Leona Schillera z 1949 roku. W pracy nad tą rolą wykorzystał swoją teorię aktorstwa - zewnętrznej transformacji, *“komponowania roli z różnych elementów”* - jak zwierzał się w jednym z wywiadów. *“Grałem go jako człowieka mądrego, w miarę cynicznego, który nie jest jednak pozbawiony ludzkich uczuć”* - dodawał.

Historycy podkreślają, że aktorstwo Hańczy w tym dojrzałym okresie życia i twórczości dzieli się na dwa zasadnicze nurty. Pierwszy to nurt romantyczny. Z pewnością mieści się w nim rola Senatora w *“Dziadach”*, przedstawieniu Aleksandra Bardinięgo z 1955 roku, studium *“pozornej”* sprzeczności *“między dobrze ułożonym dworakiem, pysz-*

nym, lecz uprzejmym dygnitarzem, a bezwzględnym mordercą i intrygantem” - jak komentował tę rolę Jan Szczawiński. W tym samym romantycznym nurcie należy umieścić rolę Alessandra Medici z „Lorenzaccia” de Musseta, legendarnego przedstawienia również z 1955 roku, *„pełnokrwistego, i nienasyconego, opanowanego zupełnie przez wieloraki głód swego potężnego ciała”* - jak pisał o tej roli Mieczysław Brahmer. W tym samym romantycznym nurcie mieści się rola Botwela w „Marii Stuart” Juliusza Słowackiego z 1958 roku, tytułowa postać z „Króla Leara” Szekspira zagrana przez Hańczę w Teatrze Polskim w 1962 roku, Borys Godunow z tragedii Puszkina wystawionej w 1963 roku i późniejsza o rok postać Księdza w „Dziadach”, a także Derwid z wystawionej w 1968 roku na scenie Polskiego „Lilli Wenedy”. Wśród tych romantycznych postaci bodaj najbardziej legendarny jest Wojewoda z „Mazepy”, przedstawienia z 1958 roku.

„Nie tylko udźwignął tę ogromną i ciężką rolę, niepopadając w patos i przesadę, które najbardziej właśnie jej grożą, ale potrafił ponadto pięknie wykorzystać doświadczenia swych poprzedników” - napisał wówczas Henryk Bieniewski, urzeczony grą Hańczy.

Rolę układające się w drugi nurt jego aktorstwa to niewątpliwie wynik terminowania na scenie poznańskiego teatru, efekt doświadczeń zdobytych w pracy nad postaciami odległymi od romantycznej koturnowości. Są wśród tych „pozaromantycznych” ról wnikliwie studia ludzkiej osobowości: wspomniany już Bubnow z „Na dzień”, Groznoj z „Lubow Jarowaja”, przedstawienia z roku 1954), Cabot z wystawionego w 1961 roku „Pożądania w cieniu więzów” O’Neilla, zagrany w roku 1963 Fiodor Karamazow z adaptacji „Braci Karamazow”, Edward Teller z „Przesłuchania J.R. Oppenheima” (także reżyserował to przedstawienie) - opisany tak przez Stefana Treugutta jako „nerwowy intelektualista, człowiek o niezmiernie aktywnym, precyzyjnym życiu umysłowym” oraz grany w 1972 z okazji jubileuszu czterdziestopięciolecia pracy artystycznej Ojciec w „Złodzieju” - *„postać serdeczna, ciepła i głęboko ludzka, pełna wewnętrznej prawdy w każdym słowie i geście”* - jak pisała o tej roli Barbara Osterloff.

Oprócz wspaniałych warunków scenicznych atutem Hańczy był nienaganny aktorski warsztat, wsparty inteligencją i wykształceniem. Intelpekt dawał mu - jak pisał historyk teatru Stanisław Marczak-Oborski - *„umiejętność wydobyć w sposób jemu tylko właściwy ironicznych podtekstów dialogu”*. Jego biografowie przekazali też świadectwo umiejętności wypowiadania kwestii zabarwiając ją sarkazmem, specyficznym poczuciem humoru. Należał do aktorów z powodzeniem uprawiających transformacjonizm - aktorstwo polegające na



„zasłonięciu siebie” graną postacią, przemiana zewnętrzna poprzez staranną charakterystykę oraz wewnętrzną przemianę psychiczną.

„Należę do tych aktorów, których prawdziwej twarzy, bez szminki, publiczność prawie nie zna, grywam bowiem role charakterystyczne i to nie tylko obecnie, ale zawsze, od początku mojej pracy aktorskiej” - powiedział w wywiadzie dla „Stolicy”.

Władysław Hańcza był jednak nie tylko aktorem. Od końca lat czterdziestych dwudziestego wieku zaczęła go pasjonować także teatralna reżyseria. Uprawnień reżyserskie zdobył w 1958 roku i od tej pory z powodzeniem zajmował miejsce za reżyserskim pulpitem. Spod jego ręki wyszły między innymi przedstawienia: „Obrona Ksantypy” Ludwika Hieronima Morstina wystawiona w 1958 roku w Teatrze Kameralnym, „Don Carlos” Fryderyka Schillera z 1960 roku (w swoim przedstawieniu zagrał też z powodzeniem Wielkiego Inkwizytora), czy dokonana w 1969 roku adaptacja „Martwych dusz” Gogola. Nie był Hańcza wybitnym inscenizatorem, interesował go teatr „ak-

torski”, reżyseria mająca pomóc aktorowi w tworzeniu roli, mniej zaś formalne eksperymenty.

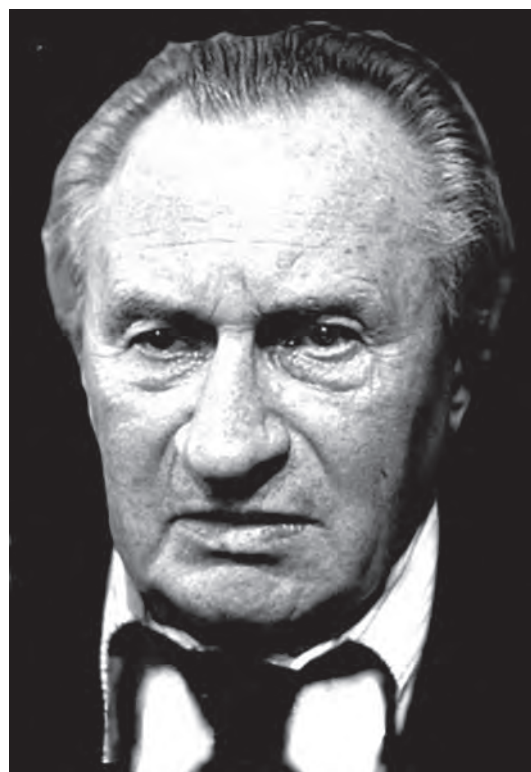
Był także wykładowcą na Wydziale Aktorskim warszawskiej PWST. Pedagogiczne pasje realizował także współpracując z ruchem amatorskim: w 1949 stworzył i prowadził Szkołę Instruktorów Teatrów Ochotniczych. Działal także aktywnie w odrodzonym po wojnie ZASP, przekształconym później w SPATiF.

Władysław Hańcza był także cenionym aktorem filmowym. Zagrał ponad czterdzieści filmowych postaci. W pamięci widzów najsilniej zapisały się role ludzi znajdujących się na skrajnych społecznych biegunach: arystokraci oraz przedstawiciele ludu. Rola zdrajcy Janusza Radziwiłła z “Potopu” (rok 1974) przyciągała uwagę psychologiczną komplikacją - żądny władzy, bezwzględny magnat umierał przygnieciony ciężarem winy, targany wyrzutami sumienia. Była to postać niemal szekspirowska. W tym samym czasie zagrał Hańcza rolę witalnego szlachcica Łady w adaptacji “Nocy i dni” - wykorzystując w niej swoje naturalne warunki zewnętrzne, ale nasycając ją żywiołowością, wielkopańskim gestem polskiego szlachcica. Ów drugi biegun - to wspaniałe studia postaci chłopskich: Boryna z “Chłopów” (rok 1970), postać mająca - mimo swego niskiego pochodzenia - więcej wspólnego z postawą drobnego szlachcica niż z potocznym wyobrażeniem o wiewskim bogaczu. Zupełnie inny był Kargul z filmowej trylogii Sylwestra Chęcińskiego (“Samy swoi”, “Nie ma mocnych”, “Kochaj albo rzuć”) - podejrzliwy, mrukliwy z charakterystycznym spojrzeniem spođe łba, rola, przy której na myśl przychodzi inna, z arcydzieła polskiej komedii: Fredrowski Rejent Milczek z “Zemsty” (notabene Hańcza nigdy tej postaci nie zagrał).

Zachwyty krytyków budziło opanowanie przez Hańczę kresowej wymowy z jej charakterystyczną śpiewnością. Nieczęsto jednak wspomina się, że Kargul głosem Hańczy przemówił dopiero w drugim z tych filmów. Aktor obawiał się, że jego kresowa wymowa nie będzie dostatecznie prawdziwa - w filmie “Nie ma mocnych” jego rolę dubbingował znakomity aktor Bolesław Płotnicki. Sam zaś Władysław Hańcza jako aktor i fascynująca osobowość uwieczniony został w 1974 roku w zrealizowanym przez Bogdana Augustyniaka godzinny filmie telewizyjnym.

Ostatnią rolą Władysława Hańczy był Matwiej w sztuce Wasilija Szukszyna “Przy pełni księżyca”. Premiera przedstawienia odbyła się na scenie Teatru Polskiego 3 lipca 1977 roku, na kilka miesięcy przed śmiercią artysty.

Tomasz Mościcki
culture.pl



Alicja Patey-Grabowska

ZEGAR

A gdyby tak
uwięzić czas
w przestrzeni
zepsutego zegara

Wyrwać wskazówki
rozbić cyferblat
cisnąć o mur

I w życiorysie
pęknięcie i skaza

Krzysztof Saturnin Schreyer

WSPÓŁCZEŚNI POETCI

Dla „Tygla Kultury” po spotkaniu w Domu Księgarza

Zbierają metafory jak się zbiera kwiaty,
splatają w wianki,
byle nie zabrakło cierni.

Potrafia niebo stawiać na głowie,
wyginać słowa.

Księżycowa grypsera
dla wtajemniczonych
i szaleńców.

Nie widzą ich obserwatoria
laboratoria

mennice.

Jakby pochowani po kątach,
a są jednym z filarów świata,
konieczni,
miedzy drwiną i podziwem.

Warszawa 21 VII 2007

Tadeusz Nowak

KRAJOBRAZ Z WILGĄ

W tej okolicy jest zbyt uroczyście.
Jaskółki kreślą nad wodami freski,
w dzbanie jeziora drzemie chłód niebieski
i usta mówią to, co widzą oczy.
Światło szeleści, zmawiają się liście
na baśń, co lasem jak niedźwiedź się toczy.

Ileż to razy śpiąc w porannej trawie
słyszałem w sobie śpiewającą wilgę.
I dziś, gdy twarzą do zieleni przylgnę,
słyszę, jak echo podpowiada rzece
cały krajobraz oddany taskawie
żrenicy ptaka i ludzkiej opiece.

Wieczorem sosna spod lasu ucieka
i dzwonią za nią rude tarcze piasku.
Wiatrak sen miele i ślepiec z daleka
z chłopcem i z pieśnią kościelną przybywa.
Jeziora stoją zatopione w blasku
kwitnących sadów, obłoków i żniwa.

I tak tu będzie, jak bywa po burzy,
kiedy wystarczy trącić ręką gałąź,
aby czuć jeszcze fosfor błyskawicy.
Tego obrazu flet już nie powtórzy.
Przed nami stoi miska soczewicy
i w ciemność psalmu pochyla się ciało.

Wtedy się nagle mój kraj komuś przyśni
z chłopcem pod lasem i z koniem u studni.
Spłoszona gałąź ucieknie od liści
i ptak zawoła przez sen leśne echo.
Wieczorna zorza odchodząc zadudni
i noc swe gniazdo uwije pod strzechą.

Pogasty lampy, tylko noc majowa
uczy się pieśni miłosnych na flecie.
Urywa, słucha i znowu od nowa
flet nawołuje z drzemiących osiczyn
rzekę, o której tylko tyle wiecie,
że jest z zieleni i mówi o niczym.

Bohdan Wodiczko

40. rocznica śmierci

“DYRYGENT TO NAJWIERNIEJSZY ŚWIADEK SWOJEJ EPOKI”

Bohdan Wodiczko urodził się 2 lipca 1911 roku w Warszawie. Był nie tylko dyrygentem współpracującym z największymi w Polsce zespołami symfonicznymi, lecz także pedagogiem wykładającym między innymi w Państwowych Wyższych Szkołach Muzycznych w Krakowie, Łodzi czy Warszawie.

SMYCZKIEM I BATUTĄ

Wodiczko pochodził z muzycznej rodziny. Pod koniec XIX wieku jego dziadek Wacław Wodiczko przybył z Czech do Polski, gdzie został dyrygentem orkiestry Zamoyskich w Zwierzyńcu. Jego syn Franciszek - ojciec Bohdana - grał natomiast na skrzypcach oraz prowadził między innymi amatorskie orkiestry w Warszawie, a także orkiestrę teatru w Jekaterynosławiu (obecnie Dniepropetrowsk na Ukrainie).

Bohdan Wodiczko przyszedł na świat w stolicy, lecz dzieciństwo spędził w podwarszawskim Wołominie. Kamienica, w której mieszkał już nie istnieje - została zburzona w 2000 roku. W jej miejscu postawiono budynek, w którym obecnie znajduje się muzeum poświęcone rodzinie Wodiczków - można w nim oglądać dokumenty, zdjęcia, odręcznie spisane nuty, a nawet instrumenty muzyczne należące do rodu.

Od wczesnej młodości Bohdan Wodiczko zdradzał talent muzyczny i dlatego ojciec zapisał go na lekcje gry na skrzypcach. Jako czternastolatek podjął naukę w Szkole Muzycznej imienia Fryderyka Chopina w Warszawie. W 1929 roku natomiast stał się studentem Konserwatorium Warszawskiego (obecnie Uniwersytet Muzyczny imienia F. Chopina) - wybrał kierunki fortepian, waltornia i teoria specjalna.

Na początku lat 30. Wodiczko wyjechał na studia uzupełniające do Pragi, gdzie zgłębiał tajniki kompozycji i dyrygentury. Pilny uczeń do ojczyzny powrócił w 1936 roku i podjął przerwana naukę w Konserwatorium Warszawskim.

W czasie okupacji niemieckiej pracował jako pianista w warszawskiej kawiarni “Adria”. Jednocześnie był też związany z podziemiem niepodległościowym - od 1939



roku wykładał na tajnych kompletach teorię muzyki.

LICZNE KONTROWERSJE

Po II wojnie światowej Wodiczko kontynuował pracę dydaktyczną. W 1945 roku był nauczycielem dyrygentury w Szkole Muzycznej im. Karola Kurpińskiego w stolicy. W kolejnych latach wykładał między innymi na Państwowych Wyższych Szkołach Muzycznych w Krakowie, Łodzi, Poznaniu i w Warszawie, a także w Wyższej Szkole Muzycznej w Sopocie.

Jednocześnie był związany z branżą muzyczną. W latach 1946-1950 pełnił funkcję pierwszego dyrygenta w Filharmonii Bałtyckiej. To właśnie dzięki Wodiczce do początku lat 50. repertuar sopockiej orkiestry obejmował rocznie dziesięć różnych programów, a ona sama była uznawana za jedną z najlepszych w Polsce. W drugiej połowie XX wieku artysta był związany z Państwową Filharmonią w Łodzi, Krakowie oraz w Warszawie, natomiast od 1961 do 1965 roku był dyrektorem i pierwszym dyrygentem Opery Warszawskiej.

Był to jeden z najważniejszych, najintensywniejszych, ale również najbardziej kontrower-

syjnych okresów w życiu artysty.

Muzykolog Michał Klubiński w audycji Przemysła-wa Psikuty z cyklu „Duża czarna” mówił, że niedługo po objęciu nowego stanowiska dyrygent zwolnił sto dwadzieścia osób ze składu artystycznego, administracyjnego i technicznego Opery Warszawskiej, w tym przedstawiciele Podstawowej Organizacji Partyjnej. Pracy pozbawił takie osobistości, jak śpiewaczki Ewa Bandrowska-Turska i Maria Fołtyn. Decyzja ta wywołała poruszenie wśród opinii publicznej i była przez nią uznawana za nieuzasadnioną - szczególnie że Opera straciła wówczas pracowników, którzy tworzyli jej zespół jeszcze przed wojną.

Na miejsce zwolnionych, Wodiczko zatrudnił wybitnych reżyserów, scenografów, choreografów i dyrygentów - między innymi Konrada Swinarskiego, Aleksandra Bardiniego, Andrzeja Majewskiego, Bronisława Horowicza, Henryka Czyża i Eugeniusza Paplińskiego. Nawiązał również kontakty z zagranicznymi realizatorami.

Szerokim echem odbił się również nowy repertuar zaproponowany przez artystę - dyrygent wprowadził na polską scenę niewystawiane dotąd XX-wieczne opery i balety.

– Wodiczko miał w sobie idealistyczne zapędy. Mawiał, że dyrygent to najwierniejszy świadek swojej epoki, a więc jego zadaniem jest nie tylko wykonywanie klasycznego repertuaru, ale też przyczynianie się do odrodzenia repertuaru dawniejszych epok i wkroczenie z muzyką współczesną - mówił muzykolog Michał Klubiński w audycji Mirosława Bielaszko „Białe plamy”.

W 1962 roku odbyła się premiera „Króla Edypa” Igora Strawińskiego w inscenizacji Konrada Swinarskiego, która zachwyciła widownię. Kolejne występy również okazywały się sukcesem - zrealizowano między innymi „Persefonę”, „Święto wiosny” i „Orfeusza” Strawińskiego, a także „Don Carlosa” Giuseppe Verdiego. Nie wszystkie propozycje Wodiczko spotkały się z pozytywnym odzewem - skrytykowana została między innymi jego interpretacja klasycznego dzieła „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki w inscenizacji Aleksandra Bardiniego.

W 1965 Wodiczko pożegnał się z Operą Narodową i ponownie wyjechał do Reykjavíku, gdzie przez kolejne trzy lata kierował tamtejszą Filharmonią. Do kraju powrócił w 1968 roku i jako dyrygent związał się z katowicką Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji. Pod koniec lat 70. rozpoczął pracę w Teatrze Wielkim w Łodzi, którego był dyrektorem i kierownikiem artystycznym.



Bohdan Wodiczko zmarł 12 maja 1985 roku. Został pochowany na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Jego synem jest artysta wizualny i teoretyk sztuki Krzysztof Wodiczko.

źródło: Polskie Radio





WIELKIE EMIGRACJE. SKĄD SIĘ WZIĘŁA POLONIA?

Burzliwa historia doprowadziła do tego, że Polska posiada jedną z najliczniejszych diaspor wśród krajów rozwiniętych. Od XIX wieku rzesze Polaków opuściły ojczyznę w obawie przed represjami lub w poszukiwaniu lepszego bytu.

2 maja obchodzimy Dzień Polonii i Polaków za Granicą. Ocenia się, że poza granicami Polski żyje około 18-20 mln Polaków i osób polskiego pochodzenia. Skąd się wzięli?

PIERWSZA WIELKA EMIGRACJA

Początki polskich diaspor za granicą wiążą się z wydarzeniami politycznymi, które wstrząsnęły Polską na przełomie XVIII i XIX wieku. Wśród ludzi, którzy musieli opuścić kraj w obawie przed represjami byli najpierw zwolennicy konfederacji barskiej, a później Konstytucji 3 maja. Kolejne fale emigracji spowodowane były klęskami powstań narodowych - listopadowego i styczniowego. Nieprzeciętne znaczenie miało zwłaszcza wychodźstwo po pierwszym z tych zrywów.

- Bezpośrednio po upadku powstania listopadowego kraj opuściło ok. 9 tys. osób, które odrzuciły carską amnestię lub były z niej wyłączone. Obok członków rządu narodowego, posłów i oficerów na emigrację udała się również część szeregowych

żołnierzy. Trzy czwarte emigrantów była pochodzenia szlacheckiego - mówił prof. Jarosław Czuby w audycji Andrzeja Sowy i Wojciecha Dmochowskiego z cyklu "Kronika polska".

Większość emigrantów osiadła we Francji. Mniejsze skupiska znajdowały się w Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i Belgii. Byli też tacy, którzy zdecydowali się osiąść w Turcji, Włoszech czy za oceanem.

Emigracja po powstaniu listopadowym nazywana jest wielką nie ze względu na liczebność, a na znaczenie dla przetrwania polskości. Wobec braku możliwości prowadzenia życia politycznego w kraju, to na emigracji - głównie we Francji - wykuwano koncepcje dotyczące przyszłości Polski. To tutaj funkcjonował szereg stronnictw politycznych i działali ludzie pokroju księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.

Znaczenie Wielkiej Emigracji nie ograniczało się tylko do działalności politycznej. Wobec zaborczych represji, likwidacji polskiego szkolnictwa wyższego i rusyfikacji, to "na paryskim bruku" narodziła się współczesna polska kultura.

Tuż przed wybuchem powstania kraj na zawsze opuścił Fryderyk Chopin. Adam Mickiewicz i Zygmunt Krasiński znaleźli się na emigracji jeszcze przed wybuchem powstania (Krasiński,

syn generała-loyalisty, został wysłany za granicę przez ojca właśnie po to, by nie wdać się w konspirację), Słowacki trafił na nią jako emisariusz powstańczego rządu. Młodszy od nich Norwid opuścił kraj już w dobie "nocy paskiewiczowskiej".

EMIGRACJA EKONOMICZNA W XIX WIEKU

Kolejną istotną falę emigracji z ziem polskich przyniosły zmiany ekonomiczne. Rewolucja przemysłowa i rozwój miast, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, doprowadziły do głodu rąk pracy, który spotkał podaż w postaci bezrolnych chłopów, których nie był w stanie wchłonąć wolno rozwijający się przemysł. Największa fala emigracji przypadła na dwie ostatnie dekady XIX wieku.

- Jeśli emigracja polityczna z początku XIX wieku szła w tysiące, to emigrację ekonomiczną należy liczyć w setkach tysięcy. Ziemie polskie opuszczali głównie chłopci - wskazywał prof. Piotr Szlanta w audycji Andrzeja Sowy z cyklu "Kronika polska".

Głównym kierunkiem wychodźstwa były Stany Zjednoczone, dokąd udało się ok. 1,9 mln ludzi. Tworzyli oni całe dzielnice w przemysłowych metropoliach, zakładali też własne miasta - stąd na mapie USA znaleźć można miejscowości takie jak Panna Maria (pierwsza polska osada w Stanach) czy Warszawa. Mniejsza emigracja skierowała się do Ameryki Południowej - głównie Brazylii (100-150 tys.) i Argentyny (ok. 30 tys.). Około 750 tys. Polaków szukało lepszego bytu w Niemczech. Wielu z nich znalazło zatrudnienie przy pracach sezonowych w gospodarstwach, inni zasilili załogi kopalń, fabryk i hut w rozwijającym się wówczas przemysłowym Zagłębiu Ruhry.

- Polacy tworzyli silne skupiska. W samym Zagłębiu Ruhry mieszkało ich ok. 450 tys., jedna trzecia z nich to byli Mazurzy - wyjaśniał prof. Piotr Szlanta.

Od 1880 roku do zakończenia I wojny światowej kraj opuściło ok. 3,6 mln ludzi. W 1894 roku powstał Związek Polaków w Niemczech. W 1944 roku organizacje polonijne w USA utworzyły Kongres Polonii Amerykańskiej.

NIESPEŁNIONY KOLONIALNY SEN

Kolejna fala emigracji przypada na dwudziestolecie międzywojenne. Odrodzona Polska była państwem ubogim, niosącym na barkach ciężar ponad stu lat rozbiorów i zniszczeń Wielkiej Wojny. Emigracja nadal miała charakter głównie eko-

nomiczny. Już w drugiej połowie lat 20. władze dostrzegły szansę wykorzystania żywiołu emigracyjnego do realizacji politycznych celów. Zaczęto sondować możliwość utworzenia polskich kolonii zamorskich, które utworzyłyby rynki zbytu dla rodzimej gospodarki i dostarczały towarów niemożliwych do wyprodukowania w polskich warunkach klimatycznych.

Szacuje się, że w latach 1918-1938 z kraju wyjechało około 2 mln ludzi, w tym 1,25 mln wywędrowało do krajów europejskich. Spadek zainteresowania Stanami Zjednoczonymi jako celem emigracji był wywołany głównie przepisami wprowadzonymi w USA i ograniczającymi możliwość osiedlenia się w kraju. W tej sytuacji wzrosło znaczenie Kanady i Argentyny jako celu polskiego wychodźstwa - do obu tych krajów wyjechało ok. 130 tys. ludzi.

Do kraju wrócił milion Polaków ze Starego Kontynentu i 48 tys. zza oceanu. A zatem dwudziestolecie międzywojenne zakończyło się bilansem ujemnym wynoszącym ponad 1 mln osób, które na stałe opuściły Polskę.

DRUGA WIELKA EMIGRACJA

II wojna światowa i 6 lat okupacji spowodowało, że kolejne rzesze Polaków musiały opuścić kraj. W pierwszej kolejności byli to żołnierze, którzy po klęsce 1939 roku zdecydowali się - przez Rumunię i Węgry - przedostać się na zachód, by tam walczyć nadal o wolną Polskę.

Cztery fale deportacji Polaków w głąb ZSRR przeprowadzone w latach 1940-1941 objęły około 350 tys. ludzi. Część z nich pozostała "na nieludzkiej ziemi", głównie w Kazachstanie. Części udało się opuścić Związek Sowiecki z Armią Andersa. Nie wszyscy - doświadczywszy zbrodniczego charakteru władzy radzieckiej - chcieli po wojnie wracać do rządzanego przez nominatów Moskwy kraju.

Postanowienia Wielkiej Trójki u kresu II wojny światowej doprowadziły do przesunięcia granic kraju, w wyniku czego na utraconych Kresach Wschodnich pozostały tysiące Polaków. W chwili zakończenia konfliktu poza granicami kraju znajdowało się ok. 2,5 mln obywateli II RP, z czego 1,6 mln stanowili ludzie, którzy opuścili kraj w czasie wojny.

Tylko część z nich zdecydowała się na powrót. Reszta zasiłała szeregi tzw. Drugiej Wielkiej Emigracji, której głównym ośrodkiem był Londyn. To tam w czasie wojny działał Rząd Polski na Uchodźstwie. Mimo tego, że dotychczasowi alianci cof-

neśli uznanie dla emigracyjnych władz, to stanowiły one symboliczne przedłużenie istnienia II RP. Na emigracji rozwijała się też nieskrępowana cenzura, tak jak to miało wówczas miejsce w kraju, polska myśl polityczna i kultura. Funkcjonowały trzy kluczowe ośrodki, których oddziaływanie - poprzez fale radiowe i wydawnictwa w tzw. "drugim obiegu" - obejmowało również na kraj. Były to: Londyn, gdzie wydawano "Wiadomości" Mieczysława Grydzewskiego, Paryż, gdzie istniało środowisko "Kultury" Jerzego Giedroycia i Bonn, skąd nadawała Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa.

EMIGRACJE DOBY PRL

Choć Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem relatywnie zamkniętym, a o paszport było trudno, również w tym czasie odnotować można kilka fal exodusów z Polski. Wychodźstwo miało m.in. charakter ekonomiczny. Rządy Polski i RFN zawarły porozumienie dotyczące "łączenia rodzin" - umożliwienia wyjazdów z PRL Niemcom, którzy zostali w granicach Polski po 1945 roku. Z porozumienia skorzystały również setki tysięcy Polaków, którzy mieli rodziny w Niemczech - głównie mieszkańcy Śląska i Pomorza. Był to pretekst do ucieczki na drugą stronę żelaznej kurtyny.

Reżim PRL doprowadził też do dwóch znaczących fal emigracji politycznej. Wskutek antysemickiej nagonki reżimu Gomułki po 1968 roku na opuszczenie Polski zdecydowało się ponad 13 tys. Żydów. Wyjeżdżających pozbawiono polskiego obywatelstwa.

Polityczny charakter miała także tzw. emigracja "solidarnościowa". Była ona następstwem represji, które uderzyły w opozycję demokratyczną po wprowadzeniu stanu wojennego. W marcu 1982 roku rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę akcja zmuszania do emigracji działaczy zdelegalizowanej "Solidarności" i innych środowisk opozycyjnych. Zwalnianych z ośrodków internowania i więzień starano się nakłonić do opuszczenia kraju.

W ten sposób reżim gen. Wojciecha Jaruzelskiego osiągał dwa cele: pozbywał się ludzi nieprzychylnych władzy i zdobywał paliwo do przeprowadzenia propagandowej akcji przedstawienia społeczeństwu opozycjonistów jako "wrogów ludu", którzy zdecydowali się na "wygodne życie na Zachodzie". Szacuje się, że w ostatnim dziesięcioleciu istnienia PRL kraj opuściło milion ludzi, z czego około 10 tys. stanowili emigranci polityczni (wraz z rodzinami).

OTWARTE GRANICE

Kolejną falę emigracji wywołało otwarcie granic i ryn-

ków pracy po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej w 2004 roku. O ile w tym roku liczba emigrantów w krajach UE wynosiła 750 tys., to już w 2005 roku wzrosła do 1170 tys. Tendencja wzrostowa utrzymywała się do roku 2017, kiedy poza granicami kraju znajdowało się 2121 tys. emigrantów. W roku 2018 liczba ta spadła do 2031 tys.

Spośród krajów UE, najwięcej polskich emigrantów przebywało (w 2018 roku) w Niemczech (706 tys.), Wielkiej Brytanii (695 tys.), Holandii (123 tys.) oraz w Irlandii (113 tys.).

Bartłomiej Makowski

MOJA PIOSNKA.

*Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów nieba,
Tęskno mi, Panie.*

*Do kraju tego, gdzie winą jest duża
Popsować gniazda na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą,
Tęskno mi, Panie.*

*Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
«Bądź pochwalony!»
Tęskno mi, Panie.*

*Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej,
Której, już nie wiem, gdzie leży mieszkanie,
Równie niewinnej...
Tęskno mi, Panie.*

*Do beztęsknoty i do bezmyślenia,
Do tych, co mają tak za tak, nie za nie —
Bez światłocienia,
Tęskno mi, Panie.*

*Tęskno mi ówdzie, gdzie ktoś o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej!
Tęskno mi, Panie.*

C.K. Norwid



Fot. Karol Grabowski

Prośba o pomoc

Szanowna Redakcjo,

Zwracamy się do Państwa z ogromną prośbą o pomoc w nagłośnieniu dramatycznej sytuacji naszego synka, Maksia. Choruje on na dystrofię mięśniową Duchenne'a – śmiertelną chorobę, która bez terapii genowej odbierze mu sprawność, a w końcu i życie.

Pojawiła się jednak nadzieja! Istnieje terapia, która może zatrzymać postęp choroby. Niestety jej koszt jest ogromny – aż 16 milionów złotych. Jesteśmy zrozpaczeni, ale nie tracimy wiary. Wiemy, że tylko dzięki ludziom dobrej woli mamy szansę ściągnąć tę niewyobrażalną kwotę i uratować naszego synka.

Prosimy Państwa o wsparcie poprzez publikację informacji o Maksiu na Państwa stronie. Wierzymy, że dotarcie do szerszego grona odbiorców może zwiększyć nasze szanse na zebranie potrzebnych środków i uratowanie życia Maksia.

Będziemy niezmiernie wdzięczni za każdą formę pomocy. Jeśli potrzebują Państwo dodatkowych informacji, prosimy o kontakt.

Z góry dziękujemy za każdą okazaną pomoc.

<https://www.siepomaga.pl/maksiu-mazurek> - POL

<https://www.siepomaga.pl/en/maksiu-mazurek> ENG

Z wyrazami szacunku,
Beata Górka - rodzina Maksia



Pomóżmy Maksiowi!

Tytus Czyżewski

80. rocznica śmierci

Malarz i teoretyk sztuki; poeta i dramatopisarz; członek pierwszej polskiej grupy awangardowej lat 20. - Formiści; kolorysta. Urodzony w 1880 w Przyszowej k. Limanowej, zmarł w 1945 w Krakowie.

Urodził się w majątku Berdychów pod Limanową w roku 1880. Studia artystyczne odbył w latach 1902-1907 w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem Józefa Unierzyńskiego, Józefa Mehoffera i Leona Wyczółkowskiego. W okresie 1907-1909 przebywał w Paryżu, gdzie silnie oddziaływała na niego sztuka Cézanne'a. Po powrocie do kraju pracował przez pewien czas jako gimnazjalny nauczyciel rysunku. W 1910 krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych zorganizowało pierwszą indywidualną wystawę prac Czyżewskiego. Lata 1910-1912 spędził w Paryżu, gdzie przyswoił sobie zasady kubizmu. W okresie 1911-1913 brał udział w krakowskich wystawach "niezależnych" razem z Andrzejem i Zbigniewem Pronaszkami, Jackiem Mierzejewskim i Eugeniuszem Zakim. Ekspozycje te manifestowały odcięcie się młodego pokolenia od kulturowej spuścizny Młodej Polski. Wczesna twórczość Czyżewskiego pozostawała w sferze oddziaływania francuskiego postimpresjonizmu, przede wszystkim malarstwa Cézanne'a ("Madonna z Dzieciątkiem", 1909).

Po wybuchu I wojny światowej artysta wyjechał do Wiednia. W 1915 zmodyfikował w oryginalny sposób tradycyjną koncepcję obrazu jako dwuwymiarowego płótna, tworząc z drewna i dykty obrazy wielopłaszczyznowe. W 1917 wstąpił do grupy Ekspresjoniści Polscy (od 1919 Formiści) otwierającej dzieje polskiej awangardy. Uczestniczył we wszystkich wystawach formistów w Krakowie, Warszawie, Lwowie i Poznaniu. Wydawał zbiory wierszy i utwory dramatyczne, projektując ich szatę typograficzną ("Zielone Oko. Poezje formistyczne. Elektryczne wizje", 1920; "Noc-dzień", 1922; "Wąż, Orfeusz i Euridika", 1922; "Osieł i słońce w metamorfizie", 1922).

Wspólnie z Leonem Chwistkiem i Karolem Winklerem redagował pismo "Formiści". Był współtwórcą krakowskich klubów futurystycznych Katarynka (1917) i Gałka Muszkatułowa (1918). W 1922, po rozwiązaniu grupy Formistów, wyjechał do Paryża, gdzie z przerwami przebywał do 1930 r. Prezentował swe prace na Salonach: Jesiennym (1926, 1928), Niezależnych (1923, 1924, 1925, 1926) i Tuileries (1926, 1929). W 1925 opublikował w Paryżu cykl poetycki "Pastorałki" zilustrowany drzeworytami Tadeusza Ma-



kowskiego, zaś w 1927 utwór "Robespierre Rap-sod. Cinema. Od romantyzmu do cynizmu".

W okresie tym wiele podróżował, zwiedzając południowe rejony Francji, Hiszpanię i Włochy. W 1927 przyłączył się do podsumowującej dokonania formistów ekspozycji urządzonej w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Po powrocie do Polski zajmował się krytyką artystyczną i żywo uczestniczył w ruchu wystawienniczym. Swą twórczość prezentował na Salonach Instytutu Propagandy Sztuki; uczestniczył w ekspozycji L'Art Vivant en Europe w Brukseli (1931) i Międzynarodowej Wystawie Sztuki i Techniki w Paryżu (1937). Swe obrazy pokazywał na wystawie grupy Nowa Generacja we Lwowie (1932) i Grupy Plastyków Nowoczesnych w Warszawie (1933). W 1934 wszedł w skład redakcji "Głosu Plastyków", czasopisma propagującego nurt kolorystyczny. W 1944 przeniósł się do Krakowa, gdzie mieszkał do śmierci.

Oryginalny wkład Czyżewskiego w awangardową sztukę lat 20. stanowiły wywodzące się z estetyki kubizmu obrazy wielopłaszczyznowe. Akcentowały one autonomię dzieła sztuki zbudowanego na sobie tylko właściwych prawach. Ar-

tysta ukazywał w nich wycinki fizykalnej rzeczywistości ujęte symultanicznie z różnych stron i odległości, tworząc ekspresyjne kompozycje przypominające refleks na płaszczyźnie pryzmatycznie ułożonych lusterek. Radykalnie uproszczone i zgeometryzowane kształty zestawiał niekiedy w zaskakujący sposób ("Akt z kotem").

Te irrealne konfiguracje przedmiotów i postaci ewokowały bliską nadrealizmowi atmosferę dziwności, były przejawem poszukiwania tego co pierwotne, próbą penetracji sfery instynktów. Częstym tematem kompozycji są fragmentarycznie przedstawione instrumenty muzyczne i pięciolinie z nutami; muzyczne rytmy oddawał też powracający wielokrotnie w sztuce Czyżewskiego motyw tańca. Czerpiąc inspiracje z polskiego folkloru, artysta stosował prymitywizującą konwencję obrazowania - w płytkiej przestrzeni pejzaży spiętrzał uproszczone formy, postaciom nadawał liryczny wyraz. Rysy ich twarzy, wymowne oczy i kotary zdobiące kompozycje mają charakter cytatów zaczerpniętych z malarstwa na szkle. Obrazy wielopłaszczyznowe z lat 20. zyskały też kształt płtych skrzynek wypełnionych reliefowymi formami, tekturowymi spiralami i skręconymi kawałkami blachy, z którymi Czyżewski zestawiał malarskie ornamenty i "naiwnie" ujęte, pełne ekspresji ludzkie sylwetki.

W latach 1924-1925 trawestacja motywów zaczerpniętych ze sztuki ludowej stała się w twórczości artysty kluczowym problemem. Czyżewski wykonywał wówczas dekoracyjnie zakomponowane portrety o sprymitywizowanej stylistyce. Pogodny wyraz tych wizerunków intensyfikowały ozdobne kwiaty, ptaki i motyle. Syntetycznie traktowane formy obiegał miękki, delikatny kontur. Powstawały w tym czasie również obrazy bezpośrednio nawiązujące do ludowych wzorów ikonograficznych - wyobrażenia Madonny i sceny Ukrzyżowania. Odwoływały się one również do konwencji obrazowania sztuki bizantyjskiej i włoskiego quattrocenta. W malarstwie z lat 1922-1930 znalazła wyraz fascynacja sztuką hiszpańską, szczególnie dramatycznymi obrazami El Greca. Silnych impulsów dostarczał Czyżewskiemu także hiszpański folklor. W obrazach artysty ujawniło się także zamiłowanie do pastiszu, parafrazy i groteski. Ciemna tonacja kolorystyczna - dotychczas dominująca - ustąpiła miejsca barwom jaskrawym i kontrastowym zderzeniom tonów.

Po powrocie do Polski w 1930 Czyżewski sprzymierzył się z kapistami, z którymi zetknął się w Paryżu już w 1925. Kluczowym motywem w jego malarstwie stały się teraz martwe natury. Zagęszczona materia malarska nabrała w nich migotliwości, nasyciła się światłem; formy określała kapryśna, falista linia. W kompozycjach z tego okresu widoczne są głęboko zasymilowane inspiracje



Madonna



Portret z ptakami

sztuką Cézanne'a i francuskich fowistów. Płaskie, samodzielnie traktowane plamy barwne powiązane są wyrazistym konturem; realne przedmioty zostają przeobrażone w zwięzłe znaki, a rolę zasadniczą odgrywają ich wzajemne relacje rozgrywane się na płaszczyźnie obrazu. W portretach

syntetycznie ujęte sylwetki modeli wtopione są w kolorystycznie rozwibrowane tło ("Portret Magdaleny Potworowskiej", 1935). Dekoracyjnemu przetworzeniu w najmniejszym stopniu ulegają pejzaże zachowujące żywy związek z realnymi formami natury. Na przełomie lat 30. i 40. nastąpiło w malarstwie Czyżewskiego wyciszenie walorów, barwy stały się bardziej świetliste i opalizujące.

W pierwszych tomikach wierszy ("Zielone oko", "Noc - dzień") Czyżewski łączył idee futuryzmu i dadaizmu, wyrażając fascynację naturą, biologicznymi instynktami i cywilizacją wielkomiejską. Z czasem w jego utworach coraz większego znaczenia nabierały nawiązania do polskiego i europejskiego folkloru. W 1925 poeta wydał w Paryżu "Pastorałki", przetwarzające góralskie motywy kolędowe. Zainteresowanie ludowością kontynuował w ostatnim tomie, "Lajkonik" w chmurach. Poezja Czyżewskiego, podobnie jak malarstwo, wyrasta z inspiracji awangardowymi prądami w sztuce początków XX wieku. Jego twórczość literacka i plastyczna to bogata, konsekwentna całość.

Irena Kossowska
culture.pl



Akt z kotem



Martwa natura z konikiem



Zbójnik



Pejzaż z Cagnes

RODZAJE KAWEK



MOCNA KAWKA



KAWKA Z PIANKĄ



MAŁA KAWKA



KAWKA Z MLEKIEM



(PO)RANNA KAWKA



KAWKA PO WIEDEŃSKU



KAWKA PO TURECKU



SZYBKA KAWKA





Arab wali w dywan na trzepaku. Przechodzący obok niego Żyd kiwa głową ze zrozumieniem:

- Co, znowu nie odpalił?

Do bram Nieba puka duszyczka. Święty Piotr pyta:

- Co dobrego uczyniłaś na Ziemi?
- Raz dałam 10 złotych nieszczęśliwej kobiecie, a innym razem 5 złotych głodnemu dziecku.
- Co z nią zrobimy? - pyta Archanioła Święty Piotr.
- Oddajmy jej te 15 złotych i niech idzie do diabła!

Jaś idzie przez przez las i spotyka wróżkę. Ta mówi:

- Spełnię twoje dwa życzenia.

Jaś na to:

- Widzisz to drzewo?
- Tak.
- To wbij w nie gwoździ, tak aby nikt go nie wyjął.
- Potem wróżka pyta:
- A drugie życzenie?
- Teraz go wyjmij.

Rozmowa kwalifikacyjna z blondynką:

- Gdyby miała pani możliwość porozmawiać z dowolną osobą, żyjącą lub nie, kogo by pani wybrała?
- Osobę żyjącą.



Na ulicy spotyka się dwóch znajomych:

- Dzisiaj jestem wyjątkowo zmęczony, a zamiast odpocząć, będę musiał wbić się w garnitur i iść do jakichś kretyków, bo żona przyjęła zaproszenie na wieczór!
- Tak, wiem, to my was zaprosiliśmy...

Pacjent skarży się doktorowi:

- Panie doktorze nie mogę usnąć. Przewracam się z boku na bok i nic.
- Też bym nie zasnął jak bym się tak wiercił.



Do pijalni wód mineralnych wchodzi spragniony człowiek i zamawia wodę sodową.

- Tylko bez soku, proszę - mówi do kelnera.
- Bez jakiego soku? - pyta kelner.
- Wszystko jedno, może być bez malinowego...

Wykładowca zwraca się do studentów:

- Osoba, która odpowie na moje następne pytanie, ma zaliczone zajęcia i może iść do domu.
- Ktoś z sali rzuca w tym momencie długopis pod nogi prowadzącego.
- Kto to zrobił?!
- Ja. Dziękuję, do widzenia.

Chirurg do pacjenta:

- Usunięcie tego gwoździa z pana głowy będzie kosztowało dwa tysiące.
- Ale przecież ja mam ubezpieczenie w NFZ!
- Na podstawie samego ubezpieczenia możemy go panu lekko przygiąć, żeby nie przeszkadzał.

Przychodzi facet z sanepidu na kontrolę do szpitala psychiatrycznego, a tam wszyscy z kierownicami biegają. Idzie więc do odrynatora i pyta:

- Co się stało, że tam wszyscy z kierownicami biegają?

Ordynator wyjmując z szuflady kierownicę i mówi:

- Jedziemy sprawdzać!

Żona do męża:

- Niepotrzebnie kręcisz nosem, przecież ten bigos jest całkiem dobry.
- Może i dobry, ale jednak większość ludzi bierze do kina popcorn.



